NUMER 14. DNIA 3. KWIETNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

MARJA RACZYŃSKA.

POLE RACŁAWICKIE.*)

Rozległe, szarawe ugory, poczerniałe, rozmokłe rżyska, pod niebem chmurnem, jesiennem, sinem. Mgiełki leciuchne, blade, przejrzyste podnoszą się z ziemi, rozwłóczą po ścierniskach, wznoszą się w górę i opadają, płyną ponad ziemią zwiewne, wydłużone, duchom podobne i znów łączą się razem, wsiąkają jedne w drugie, tworzą olbrzymi, ciężki, nieprzejrzany tuman mglisty, który zasnuwa i chłonie w siebie krajobraz i nieskończonym smutkiem kładzie się na duszy.

Gdzieś tam w oddali majaczeją ciemne, smukłe kontury ogołoconych z liści brzózek, słychać wiew wiatru cichy, łkający — wiatru, który tam kędyś, od lasku brzozowego idąc, uderza o suche, zwisające pręcie drzew i płacze.

Mrok zapada coraz głębszy, zupełniejszy, cichszy — mrok surowy i chłodny, kochanek śmierci i tęsknoty.

Więc to tutaj! — więc tutaj...

Dusza cofa się w przeszłość, marzy, wspomina, płonie. Obrazy ogromne, świetlne, wstrząsające — wspomnienia ukochane, bolesne i święte, uczucia nieskończenie tkliwe, jak tęsknota i uczucia butne, silne, bezwzględne, jak duma — uczucia, zrodzone z łez i krwi, z uniesienia radosnego i bezbrzeżnej rozpaczy, powstają, kłębią się, olbrzymieją.

Serce bije młotem — łzy płyną z oczu, gorzkie, palące łzy żalu za przeszłością, za onym złotym, bohaterskim wiekiem zapału i ofiary, za onem promienistem świętem W i a r y i M o c y. Kolana gną się i usta łkające przywierają do ziemi, do tej ziemi nieszczęsnej, która cała jest jedną, wielką, bolesną relikwją, do tej ziemi, przesiąkniętej wskróś krwią i łzami.

I nagle płakanie wiatru staje się tak blizkiem, tak rozpacznem, ogromnem, iż przysiągłbyś, że tysiące istot tajemnych i bolesnych, istot zapomnianych od dawna, wyciąga ku tobie z mroku ramiona i skarży się i mówi i płacze.

Dusza zapada w groby, zagląda w łono ziemi czarne, gnijące. Widzi nabrzmiałe, sine czoła, twarze zastygłe w przerażeniu, okropną męką konania, wykrzywione usta. Widzi rozwarte, zczerniałe od krwi piersi, otwarte aż do trzew łona, ciała poszarpane, purpurowe od ran, zaciśnięte, krwią obroczone pięście. I widzi ciała, odpadające od kości, szkielety, rozsypujące się w proch, oddzielone od tułowia czaszki, czaszki patrzące pustymi oczodołami, śmiejące się okropnem, straszliwem spojrzeniem.

Zdają się one mówić, krzyczeć, chichotać: „Otośmy kwiaty waszych serc, płomienne kwiaty waszych piersi, otośmy myśli wasze, prochy... prochy... prochy...

„Oto nadzieje, które się rodzą, aby umrzeć, ofiary, które się pełnią, by przepaść bez echa, ognie miłości, co wybuchają, by się wypalić, popieleć, zgasnąć.

*) Patrz notatkę w dziale: „Piśmiennictwo i sztuka“ p. t. „Listy prababki“.

„Oto my, które jesteśmy jedyną prawdą życia — popioły... popioły...

„Zaprawdę warto prężyć ramiona, zaprawdę warto wysnuwać złotą przędzę myśli, zaprawdę warto w kawały drzeć serce, roztrzaskiwać piersi o skały.

„Dalej, dalej naprzód! a za wami krok w krok pójdziemy my: ciche, zimne, nieubłagane, straszliwe siostrzyce — Śmierć, Nicość, Zagłada.

My, które jesteśmy Jutrem“.

. . . .

Okropny skurcz serca, rozłamywanie się i rozpadanie wszystkich wierzeń, nadziei.

I nagle Chwila-Błyskawica — jedyna chwila życia — płomienne Objawienie — Jasnowidzenie rozbolałej aż do szału duszy.

Idą... ziemia drży, gnie się pod naporem ich stóp. Idą... ramię przy ramieniu, pierś przy piersi, niepowstrzymani, nieobjęci, jako lawina, kiedy wali z gór. Białe na nich świtki, siermięgi szare, znoszone, grube robotnicze bluzy. Jako uderzenia piorunów, biją spojrzenia ich ócz, ócz jasnych, dziecięcych, błyszczących z popod płowej grzywy równo przyciętych włosów, z popod brwi, groźnie ściągniętych.

Ogorzałe, zgrubiałe, nabrzmiałe od żył ręce dzierżą śmigłe drzewce.

A górą szumi, dźwięczy, błyszczy las kos.

. . . .

Kimże jesteście, o niezliczeni?!

Przyszłością!

. . . .

I znowu cisza, martwota, mrok — po ugorzysku rozwłóczą, kłębią się mgły i jeno wicher zawodzi... jęczy... płacze...

WŁADYSŁAW ORKAN.

HERKULES NOWOŻYTNY.

(Prawo przekładu zastrzeżone).

W gminie Juzgów, przy granicy węgierskiej, żył człowiek sprawiedliwy, nazwiskiem Kurzawa. Był to chłop niezwykłej siły i olbrzymiego wzrostu, i w naiwności swej nie wiedział zrazu, że się tem można wśród ludzi odznaczać.

Już od wczesnych lat nawykł ustępować wszystkim, to też, gdy ojciec, uważając na jego miękkość lekkomyślną, nic mu w testamencie nie ostawił, jeno pół czwarcizny pola — i tę część ustąpił bratu wzamian za życzliwość. A to się stało w taki prosty sposób:

Upatrzył sobie był niewiastę na żonę odpowiedzialną i uprosił brata, aby poszedł do domu jej ojca, jako swat — na namówiny. Brat też poszedł i, wywiedziawszy się skraja, ile jej ojcowie dają, namówił, ale dla siebie; a jemu wytłumaczył pomału przy czasie, że cóż mu po tym skrawku pola, gdy nie ma żony ni dzieci, lepiej niech bratu biednemu, obarczonemu rodziną ustąpi — za to będzie miał życzliwość i wspominanie dobre na wiek wieków.

Tak to Kurzawa zbył się ojcowizny i miał prócz życzliwości i wspominków, jeszcze zadowolenie w sercu z tego. Ani takiej zapłaty hojnej za ten mizerny skrawek nie przypuszczał.

Z tem zadowoleniem lekkiem poszedł między ludzi — i pokazało się dopiero teraz, że nie umiał żyć. Poprostu nie był do życia wyuczony. Czy temu, że sam się chował we większej części lat swoich, pasając owce, potem woły po odludnych halach, czy z urodzenia był tak niepojętny — dość, że już ojciec to, widać, spostrzegał, kiedy go z gruntu odcofnął, a i brat pewnie nie dla czego inszego odjął od niego tę resztę.

Tak — nie umiał żyć. I na cóż mu ta siła wielka, ten podpowalny wzrost, kiedy nie umiał kraść, cyganić, przewijać się, podłazić, podchlebiać, być ślepym, głuchym, niemym, gdy tego trza było — no, jednem słowem: nie był do życia sposobny.

To też, gdy nigdzie przy ludziach nie mógł długo wybyć, ani roboty w końcu u nich naleźć, a widział, iże inszym, lichszym od niego w sile i umiejętności robót, dobrze się wśród ludzi wiodło, zaczął pomału poznawać niedołężność swoją. I to go jeszcze więcej onieśmielało do życia.

Straciwszy ostatnią służbę z powodu dosyć głupiego: iż nie mógł ten rok jeden przepatrzyć spokojnie, jak gaździna oszukiwała męża poza oczy, stał się już całkiem bezradny i jeszcze bardziej tego wszystkiego, co się życiem nazywać zwykło, nierozumiejący. Tak się mu to wszystko pomieszało — i złe, i dobre, i gorsze, i lepsze, i sprawiedliwe, i niesprawiedliwe — że się już doznaku stracił i, jak by mu omamienie mgłą na oczach siadło, ujrzał się niby przed jaskinią czarną, którą silił się oczyma przebić, czując przytem, iż gdyby się jego oczom rozwidniła, to już potem wszystko — całe życie — stanie mu się jasne. Doznaku tak, jak we śnie.

I gdy tak silił wzrok w tę ciemność długo, uporczywie — a na płacz mu się już zbierało z tej próżnej niemocy — obaczył nagle przed oczyma smoka, który wychylił łeb potworny z czarnego otworu, wywalił na patrzącego ozór taki długi, że, jak życie życiem, nikt pewnie nie widział takiego ozora, i cofnął się pomału nazad do jaskini. Wyraźnie drwił z Kurzawy.

Wtedy to po pierwszy raz napadła tego dobrotliwego z kośćmi człeka taka złość nieopętana i — można jeszcze dodać — taka wściekłość, iż bez momentu namysłu rzucił się ku tej jaskini, aby tę potworę głupią za jednym zamachem zabić, a jeżeli się nie da, to przynajmniej po tej drwiącej mordzie skuć tak, iżby się jej posoka puściła. Ale cóż — gdy już mocno z tym zamiarem ruszył, wszystko mu naraz zniknęło z oczu — i smok, i czarność, i jaskinia — omamienie go odpadło, i widział jeno dookoła życie podobne, jak przedtem. Na kimże się tu mścić?

Z tego zabrał się z gminy, zaszedł na odludne działy, które graniczyły z wsią sąsiednią, a że był głodny i zmęczony — siadł na rozstajnych drogach i, nie widząc nikogo z ludzi, jeno pustkę, rzekł głośno, z przekonaniem:

— Niema sprawiedliwości.

A potem, gdy sobie, dumając długo, udowodnił na wyraźnych, bo niedawno przeżytych przykładach, iże prawdę powiedział — nie kłamstwo, spytał się znowu tej pustki:

— Co czynić?

A że go już raz szarpnęło do bitki — choć to była jeno złuda, co go napastnęła — tem pilniej ponowiła się teraz ta chętka:

— Chyba iść i prać skraja — wszystkich — bez wyjątku... bo tu każdy coś winien...

Ale, zastanawiając się nad tem, obaczył, iż się to nie da tak łatwo wykonać. Gdyby wszyscy ludzie stanęli przed nim w jednej postaci, naprzykład: w postaci smoka, jaki mu się w tem omamieniu przedstawił — to rzecz byłaby nie trudna. Ale tak... po jednemu... Odrzucił ten zamysł,

Widząc się zaś rzeczywiście na rozstajnych drogach, znowu w bezradzie pomyślał:

— Co czynić?

Wtedy to odezwały się trzy głosy — każdy z osobna i inaczej, iże mu się nawet mogło zdawać, jakoby trzy postaci różne przed nim stały.

Pierwszy głos mówił:

— Miejże rozsądek, człowiecze, i kiedy cię ta gdowa rada widzi, coś zaprzeszłego roku u niej służył, to się z nią ożeń i będziesz miał miejsce. Przecie to szczęście dla ciebie. Wiesz, jak trudno niemającemu majątku przyżenić się do gruntu. Sam uważ...

Ten głos nie był mu doznaku obcy. Tak — to samo, baczy, radziła mu życzliwa jakaś niewiasta, czy też kumoszka nawet onej gdowy.

A drugi głos powiadał:

— Jeżeli chcesz mieć długie życie, to strzeż się zwad i bitek. A najlepiej, żebyś się pozbył przesądów i ostał kościelnym dziadem.

Ten głos w nim samym się odezwał; ale Kurzawa najmniej sobie wierzył; przeto się nawet nad tym głosem i nie zastanawiał.

A trzeci głos podszeptywał:

— Najlepiej jedź we świat. Świat szeroki — któż zgadnie? — możesz natrafić na szczęście. Ani nie wiesz nawet, co cię czeka. Przytem obaczyć możesz cuda różne...

I ten głos, zdało mu się, choć trochę inakszy, już słyszał gdzieś od kogoś, niedawno... Ale-ba! Tak — istotnie — od Żyda-karczmarza, który go w zeszłą niedzielę namawiał, aby ostał u niego furmanem. Jeździłby jeno po tabak za granicę węgierską, do miasta. Kawał świata... Kraj nowy... Cóż ono go wtedy cofnęło, że nie przystał?

I począł myśleć w rozumie, a ten ostatni projekt coraz to bardziej zaczynał mu się podobać. Jedzie sobie, mospanie, parą końmi, jak jaki kmieć na odpust... Gościniec bity — osiedla po obu stronach — ciekawość wyziera z okien, gdy przejeżdża... Dziewki zwyczajnie najciekawsze... Niejedna gładka twarz czerwieni się i kryje poza sprzeczki okien, jak ta piwonja w ogródku poza sztachetami. Dolatuje go szept: „Patrzcie! Kurzawa jedzie“... On się prostuje na wozie i, jakgdyby go nigdy nic nie obchodziło, zatacza koło biczem, strzela, a konie niosą, jak sto djabłów...

I wnet w głowie jego, tem pomyśleniem rozpalonej, wymalował się taki obraz zacny, iże furmaństwo zdało mu się najszlachetniejszem, ba, najsławniejszem zajęciem, jakie na świecie istnieje — w oczach urosło mu w Sławę — w słowo o wielkiej literze... Furmaństwo — Państwo — Hetmaństwo...

Widziało się jasne, niewątpliwe, iż on właściwie już od dziecka o tem furmanieniu marzył.

I naturalnie — poszedł za tym głosem. Choć ten głos nie był, jak się już rzekło, wewnętrzny — i, jak widać z powyższych kwiecistych obrazów, tak jeno mógł Kurzawę Żyd-karczmarz zachęcać. Ale on

na to nie baczył; niech był ten głos skąd chciał, skoro dobrze doradzał; tak mu się już stanowczo widziało. Powiedzieć można: uwierzył w swoje powołanie.

Poszedł odrazu, najął się i jeszcze w tym dniu przełomowym został, jak bezświadomie był marzył — furmanem. (C. d. n.)

Światła i cienie we Francji.

I.

Lucie Bagarre.

Ciekawe to dzieje, historja małego podrzutka, Lucji Bójki, dziewczynki, która w tym roku kończy jedenasty rok życia. Maleńka Lusia jest dzieckiem kwartału łacińskiego, kwartału studenckiego. Podczas roku szkolnego mało który z młodzieży uczącej się wie o obowiązkach, jakie ich poprzednicy wzięli na siebie lat temu jedenaście. A i ci, którym wtedy serce zabiło na widok dzieciny, porzuconej, opuszczonej, bezbronnej w obec świata całego, dziś prawie wszyscy zapomnieli może o małej Lusi, która im wiele zawdzięcza, ale której i oni dłużni są za to przebudzenie najszlachetniejszego w człowieku uczucia: miłosierdzia i współczucia dla nieszczęścia bezbronnego. A jednak jest jeden dzień w roku, kiedy Lusia i jej przyszłość są przedmiotem troski setki młodzieży, która nigdy nie widziała swej pupilki, nigdy nawet nie słyszała o niej więcej niż to, że jest dzieckiem kwartału łacińskiego. A teraz przysłuchajmy się dziejom Lusi Bójki — Lucie Bagarre.

Było to, jak już powiedzieliśmy, lat temu prawie że jedenaście, w lipcu 1893, podczas wielkich zaburzeń studenckich w Paryżu. Przyczyny zaburzeń studenckich w Paryżu stanowią sprawy szkolne, sprawy wyłącznie studenckie. To młodzież niezadowolona jest z nowej nominacji profesorskiej, to podejrzewa nieprawidłowości przy egzaminach konkursowych, to znowu chce ona wyrazić niezadowolenie jednemu ze swych zwierzchników lub mentorów. Niezadowolenie wyraża się w manifestacjach krzykliwych, w wybuchach humoru, w których po większej części więcej jest swawoli, aniżeli ducha walki. Gęsiory, kocie muzyki, tłumne procesje i pozorne stawianie oporu władzom policyjnym, są to zwykłe, niemal że doroczne formy, w których dziś jedna szkoła, jutro druga „uchybia szacunku“ swym władzom zwierzchnim.

Profesorowie i władza szkolna w ogóle przyjmują te objawy niezadowolenia ze spokojem iście olimpijskim. Jak u Jowisza z operetki ofenbachowskiej gromy władzy mają coś sztucznego w sobie, coś udanego; czoła nachmurzone, wymówki cierpkie i groźby, których wykonać nikt nie zamierza, są niejako niezbędnym dodatkiem, jako kontrast sceniczny do muzyk kocich, do krzyków swywolnych i do okrzyków p e r e a t, wydobywanych z gardzieli, krztuszących się od śmiechu serdecznego.

Ale manifestanci wychodzą na ulicę, a ulica wszak jest pod opieką władz rządowych, ministrów, rozporządzających podatkami krajowymi i zbrojną siłą narodową. Psychologja ministrów jest inną od psychologji nawet zacietrzewionych belfrów. Pałki, któremi ci ostatni rozporządzają, życie swe i znaczenie tylko na papierze mają, ale ministrowie rozporządzają pałkami wojskowemi, pałkami policyjnemi, które bezwiednie często szukają pleców obywatelskich, wywołują starcia i szaleją póty, póki przebudzone uczucie obywatelskie nie potrafi złamać tej ślepej ale rozochoconej przemocy brutalnej. Gdy więc manifestująca młodzież zjawia się na ulicy, spotyka się z „organami porządku“, z „władzą bezpieczeństwa“, a wtedy czasami dosyć jest iskry, by bezpieczeństwo i swoboda obywateli zostały zagrożonemi.

Dosyć, powiadamy, jest iskry, ale trzeba też gniewu wielkiego, by tę iskrę wykrzesać. W lipcu 1893 roku zjawił się taki gniew wielki, z którego poszła iskra złowroga, która swawolę zwykłą w szalejącą żądzę walki przeobraziła. A gniew ten zrodził się — o dziwo — u owych „organów bezpieczeństwa“, którym ministrowie ostateczne zaprowadzenie porządku powierzają.

Manifestacje trwały już kilka dni z rzędu, gdy przy nowem zetknięciu się i przekomarzaniu się policji ze studentami, jeden z organów bezpieczeństwa pociskiem, wymierzonym w niewinnego zresztą świadka manifestacji, pozbawił tego ostatniego życia.

Na widok tej ofiary przemocy brutalnej a ślepej, wesołość opuściła młodzież. Obrażone poczucie obywatelskie nie dopuszczało już dalszego zadawalania się manifestacjami niewinnemi. W przeciągu kilku godzin duch kwartału łacińskiego zmienił się; na placu zostali ci, w których zawrzała chęć walki. Zjawiły się barykady, zjawili się szermierze swobody i prawdziwego bezpieczeństwa obywatelskiego. Manifestacje studenckie przeszły w manifestacje re-

wolucyjne, — sprawy szkolne ustąpiły miejsca sprawie zagrożonej wolności obywatelskiej. Nie szło już o skarcenie nałogów belfrowskich, ale o ukaranie rządu, który w przemocy nad obywatelami swój spokój i swe bezpieczeństwo widział.

I właśnie podczas tej walki kilkudniowej, oddział młodzieży, pałającej zemstą, przechodząc przez jedną z ulic kwartału łacińskiego i przygotowując się do walki z wojskiem i policją, zatrzymał się przed kościołem, na stopniach którego leżało dziwnych kształtów zawiniątko. Jeden z oddziału podniósł pakunek. Towarzysze już byli zatrzymali się przed kościołem, bo do ich uszu i do ich serc doleciał dziwny głos skargi. Był to głos biednego, zgłodniałego niemowlęcia podrzuconego.

Więc nietylko ich towarzysza spotkała krzywda? Oto tu, na progu kościoła, bezbronne i opuszczone dziecię dopomina się swych praw napróżno. Kto wie, jakie nieszczęście spotkało jego rodziców! Kto wie, jaka krzywda społeczna ciąży nad tymi, którzy dla dziecka swego prośbą niemą pomocy żądają! A może to tylko matka sama opuszczona i zdradzona zostawiła tu na progu kościelnym swe dziecię! Kto wie, czy w tym bezkształtnym i nieuformowanym jeszcze krzyku niemowlęcym nie można się dosłyszeć płaczu niemego matki zdradzonej.

I oto oni idą do walki o prawa człowieka i obywatela. Każdy z nich wszakże ma pomoc, czuje obecność swego towarzysza, żyje solidarnością spółobywateli. Głosowi każdego z nich odpowiadają okrzyki towarzyszy, okrzyki wszystkich przebudzonych obywateli. Nikt z nich nie czuje się sam, bezbronnym! Nad nimi wszystkimi powiewa sztandar swobody, sztandar szeregów zrzeszonych. Ale to niemowlę bezbronne i samotne — o ileż ono jest bardziej od wszystkich pokrzywdzonem. Nad głową tego niemowlęcia niemasz sztandaru żadnego; nad niem rozpościerają się niewidzialne szpony tej krzywdy społecznej, tej niesprawiedliwości, być może nawet tej zdradzieckiej i zwycięsko urągającej krzywdy, która mu życie dała!

„To teraz nasze dziecię“ — zawołali manifestanci — „dziecię kwartału łacińskiego“. I nad łachmanami, służącymi niemowlęciu za powijaki, — rozpostarł się sztandar sprawiedliwości, ten sam sztandar solidarności ludzkiej, który przewodził hufcowi młodzieży.

Było to 6. lipca, dzień św. Lucji, więc też Lusią ochrzczono na miejscu dziecię kwartału. A do imienia Lucji dodano nazwę Bagarre — Bójka, bo w chwili bójki o swobodę krzyk niemowlęcia opuszczonego usłyszanym został. Zebrano natychmiast składkę i wraz z 700 koronami zaniesiono dziecię do merostwa. Miejscowe władze zajęły się dzieckiem, które wychowuje się kosztem Zarządu dobroczynności. Pieniądze zaś, zebrane przez studentów, złożono do kasy oszczędności.

Co rok, w dzień śródpościa, gdy ludność stolicy w uciesze bezmyślnej stara się utopić troskę o byt, gdy młodzież szkolna zwyczajem, przekazanym przez ojców, stara się „wyszumieć“, wspomnienie o Lusi Bójce, na którą w ten dzień zbierają składkę, jest bodaj czy nie jedyną u wielu skromnie tlejącą się głownią lepszych i bardziej ludzkich uczuć. Dziś mała Lusia posiada kapitalik, który przynosi jej 100 koron renty rocznej.

I tli się wciąż jeszcze ta iskierka miłosierdzia, pobudzonego do życia podczas dni walki, ta iskierka, która oddzieliła się od płomienia rozbudzonej żądzy swobody obywatelskiej. Zaiste ludzkość nie zdaje sobie sprawy z tego, ile ta żądza swobody dobrego uczyniła!

Meta.

JAN ŚWIERK. 14)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Przed samemi Świętami upadałyśmy z umęczenia.. Wszyscy chcieli mieć suknie na Święta, więc noc po nocy przechodziła, jak burza szalejąca, która sen płoszy, spoczynku nie da i umęczy strasznie.

Ostatniej nocy, czułam już, że mi się słabo robi. W ramieniu ból miałam silny, oczy paliły, jakby żarem wysypane.

Wreszcie machina stanęła.

W dzień wilji o 4-tej panny się rozeszły. Maryśka poczęła suknie roznosić.

Chciała jeszcze ciocia jedną bluzkę wykańczać po wilji, ale zaprotestowałam przeciw temu stanowczo i wytłumaczyłam, że się to już „nie godzi“ w tę noc świętą szyć i pracować.

Maszyny umilkły. Ponakrywałyśmy je skrzynkami drewnianemi, pozasuwałyśmy w kąt pod ścianę, poza parawan, aby ich widać nie było. Manekiny — te wiecznie strojone lalki, które jak widma stoją po pracowniach i są często niby symbolem bezduszności strojonych figur, jak owe lalki bez serca i bez

życia — poszły do kuchni... niech raz przecie zejdą z przed oczu, niech w mieszkaniu tem raz przecie inna myśl i inny cel stanie na głównem miejscu, a nie suknia, stanik, materja i koronka.

Posprzątałyśmy z ciocią całe mieszkanko, które jakby cudem, zmieniło się nie do poznania.... Przyszła tu teraz cisza, słodka, miła cisza, która w życiu wiele bolów łagodzi.

Przyszedł spokój miły, który rozjaśnił nawet cioci czoło... dzieci zaś rozweselił, bo poczuwszy się swobodniejszemi, poczęły garnąć się do matki i pytać:

— A ryba będzie na wilję?..

— Zaraz biegnę, kupię, przyniosę orzechów i jabłek dużo — obaczycie..

— A drzewko będzie?..

— Może, jeszcze nie wiem, jeśli Maryśka przyniesie pieniądze od pań.

Już koło 6-tej było, gdy dopiero ciocia wróciła z miasta, dźwigając kosz ciężki. Ryby strasznie drogie, bo przy końcu było więcej kupujących, niż ryb — za tem jabłka, pierniki, orzechy, masło, miód.

Maryśka przyszła z bardzo małym plonem.

Wszędzie powiedziano, że „po świętach“ zapłacą, ale nigdzie może nie pomyślano, że biedna krawcowa także na Święta potrzebuje.

Jaka ta wilja była dla mnie, nie zdołam opowiedzieć.

Pierwszy raz zdala od drogich mi — od mego domu.. wśród obcych...

Ot... po co wspominać...

— — — — — — — — — — —

Dopiero po 8-mej zasiedliśmy do wilji, bo czekaliśmy na wujcia.

Przyszedł pijany...

Gniewał się na ciocię, na dzieci, zbił dwa talerze, mnie chciał ciągle całować.

Rozpłakałam się i uciekłam do saloniku.

Po chwili przyszedł Stach.

— Niech kuzynka ze mną i z dziećmi zakolenduje, wedle zwyczaju — potem pójdziemy na Pasterkę.

Dzieci się do mnie przytuliły, Stach stanął na boku.. poczęłam śpiewać.

I zdawało mi się, że jestem gdzieś bardzo daleko, że niosą mnie jakieś skrzydła niewidzialne, że słyszę chóry aniołów, że razem z niemi budzę śpiących pasterzy, że zbliżam się do progu szopy betlejemskiej i uklęknę tam...

I zdawało mi się, że niosę tam do progu stajenki, rozjaśnionej blaskiem świateł niebieskich, wszystkie łzy ludzi biednych bardzo, że je tam rozsypię, jak strugę deszczu, a wyschną i już płynąć nie będą.. „On“ przyszedł, aby przynieść ziemi pokój..

Gdzież ten pokój, przez Zbawcę dany i ludziom drogą ofiarą zdobyty?..

Niema go!.. o! niema...

— — — — — — — — — — —

Czy wiem, jak długo śpiewałam?...

Wiem tylko, iż gdy skończyłam tę najrzewniejszą może z wszystkich, Lenartowicza kolędę, zaczynającą się od słów: „Mizerna cicha — stajenka licha“ — ciocia mię objęła za szyję, zaczęła całować tkliwie i serdecznie, mówiąc:

— Ani wiesz, jakaś ty dobra, poczciwa i przyjemna. Zdaje mi się czasem, żeś tu zesłana na moje pocieszenie...

— Cioteczko!.. czylim warta tego uznania? Jestem ci tu ciężarem, wpiłam się tu jak pasorzyt, wiem, że więcej kosztuję, niż daję, a ty mię jeszcze kochasz?...

Na to Jańcio, tuląc się do mnie:

— Jesteś bardzo dobra i wszyscy cię kochamy..

Zaś kuzyn Stach zbliża się powoli, całuje mię w rękę i mówi bardzo poważnie:

— Za ten sam cel, dla którego kuzynka tyle ofiar ponosi, należy się ją szanować i kochać.

Przyznam się szczerze, że słowa Stacha zrobiły na mnie wielkie wrażenie.

Pierwszy raz usłyszałam przecie, iż ta moja teraźniejsza ciężka walka, uświęcona celem, do którego dążę — godna jest uznania...

Wuj poszedł spać — dzieci miały drzewko bardzo malutkie i ubogie... Ale Stach przyniósł im na gwiazdkę książki i zabawki.

O północy poszliśmy na Pasterkę.

Noc była mroźna, pogodna i jasna.

Z wieżyc kościelnych dzwonów pieśń roztaczała swoje skrzydła daleko... raz one rwały się silniej i niosły wyżej myśl ludzką... drugi raz znów stawały się, jakby słabsze, ciszej szeptały swą melodję i wtedy serce poczynało pukać silniej, o coś pytać, za czemś wołać, czegoś szukać.

Szłam ulicą miasta o takiej porze, o jakiej go jeszcze nigdy nie widziałam...

Wielkie, kamienne, uśpione miasto. Ileż to ognisk w każdej kamienicy, ileż tu warstw, stanów, klas i różnic dookoła... A wszakże noc ta przypomina ową wielką chwilę przyjścia tego, który kazał „miłować bliźniego, jak siebie samego!!“

Okna sklepowych wystaw pozasłaniane żelaznemi storami, drzwi wszystkie kute żelazem, zamykane na zamki ciężkie i silne.

Czemu tak ?. .

Czemuż na wsi chaty i spichrze, stodółki i obory ledwie na najlichsze kłódki zamknięte stoją noc po nocy, a lud nie boi się rozboju, kradzieży ?. .

Po ulicach stoją nocne straże policji, latarnie płoną. .

Czemuż na wsi jeden tylko stróż nocny wystarczy, gdy przechodząc z czarnym Kruczkiem woła melodyjnym swym głosem: „ostrożnie z ogniem“ ?

Nie wiem, czyli miasto dlatego tak musi zamykać swe okna i drzwi, iż kryje bogactwa, a wieś dlatego tak spokojnie zasuwa swoje wrota, iż ani złota, ani srebra po za niemi nie ma . . czy też miasto dlatego musi czuwać, iż kryje w swem wnętrzu, jak głębia oceanu — potwory nędzne, a wieś, jak potok — niesie tylko czystą i zdrową wodę . . .

— — — — — — — — — — —

Wracaliśmy wśród tłumów. Więc kuzynek podał cioci rękę. . ja szłam obok.

Ciocia była spłakana. Uważałam dobrze, iż podczas Pasterki tuliła twarz w chustkę i łkała cicho. .

I mnie łzy się sączyły. . O! smutno mi było. .

Kuzynek pyta:

— Za mamcią płakały te oczy?

— Za wszystkiem, co daleko, i nad tymi, co biedni.

— A nad sobą nie?

— Ani jedną łzą. .

— Powiedzże mi, kuzynko, kto cię tak zahartował ?. .

— Życie wśród ludu. Lud nie rozpieszcza, nie budzi tkliwości, często samolubnej. . On twardą pracę dźwiga i do pracy przykładem nagina.

— A tu widzisz lalki strojące się . .

— O! nie uwierzysz, kuzynie, jak one mi się wydają małe i mało warte. .

— Nic ich nie zmieni nigdy!

— Dobranoc!

— Do widzenia jutro!

———

Ciocia poszła do znajomej modniarki, Rzepkowskiej, która przysyłała trzy razy po ciocię. Ubrała się ciocia w ładną czarną suknię, włosy ufryzowała, przypięła kołnierzyk koronkowy jasny i w stroju tym świątecznym wyglądała nawet przystojnie. Nie poznałby może w niej kto tej samej, zawsze pochylonej nad igłą pracownicy.

Patrząc na nią, pomyślałam też zaraz, iż zajęcie krawieczczyzną nie byłoby tak mozolną pracą, gdyby miało tak oznaczone godziny pracy i godziny spoczynku, jak jest w biurach, fabrykach i innych zakładach.

A właśnie dlatego nie może się uregulować ta praca krawcowej i panien od szycia, iż panie zwykle dają robotę w terminie gwałtownym, palącym, szybkim, nie pytając, czyli nie czynią szkody w zdrowiu pracownic, nie wyzyskują sił dla kaprysu.

(C. d. n.)

Z opowiadań Omera*).

NAJWIĘKSZY GŁUPIEC.

Rozpróżniaczony pewien człowiek, który ponadto lubił żyć bardzo rozrzutnie, często spotykał się z radą swoich przyjaciół, aby się raz wreszcie przecież opamiętał i zechciał uznać błogie skutki oszczędności. Wszystkie jednak rady przyjmował on z taką samą obojętnością, z jaką je za chwilę mimo swoich uszu puszczał. Jedynem jego staraniem było: roztrwonić jak najprędzej majątek ojcowski. Gdy się zawsze wybiera, a nic równocześnie nie wkłada, to wreszcie i sułtańska kasa wypróżnić się musi... jak właśnie się stało i owemu człowiekowi. Pewnego poranku obudził się już zupełnie ubogim.

Przez pewien czas starał się jeszcze utrzymać na powierzchni, gdy mu się to jednak nie udawało, chwycił kij do ręki i wybrał się na poszukiwanie szczęścia.

Obdarty, głodny, zrozpaczony, opuścił wieś swoją rodzinną, kierując swe kroki w stronę lasu. Tam spotkał wilka: „Człowieku... dokąd? Jaka bieda cię pędzi? — zapytał wilk.

— Idę szukać szczęścia.

— Jesteś osobliwym człowiekiem. Ale idź, — nie chcę ci zrobić nic złego, pod warunkiem jednak, że zapytasz szczęścia, dlaczego ja jestem taki chudy.

Człowiek przyrzekł i poszedł dalej.

Daleko na rozdrożu, stał białobrody starzec.

— *Merhaba* (na zdrowie!) powitał go rozrzutnik.

*) Omer Effendi, młody pisarz turecki, którego zbiór drobnych opowieści ludowych, jest obecnie przetłumaczony na wiele języków europejskich.

— *Merhaba,* odrzekł stary... ty szukasz swego szczęścia, jak mi się zdaje?

— Tak.

— Wracaj mój synu — ja jestem twem szczęściem. Byłem przy tobie wtedy, gdyś się stawał bogatym dziedzicem ojcowskiego majątku... ale odpędził mnie twój nierozum. Miałeś szczęście po raz drugi, gdyś na swej drodze spotkał wilka, a ten ci nic złego nie zrobił. Teraz spotykasz mnie po raz trzeci... wracaj zadowolony... więcej niż trzy razy nie może mnie widzieć żaden śmiertelny. Ale przedtem jeszcze możesz mnie prosić o jaką łaskę.

— Dziękuję. Obiecałem wilkowi, że cię zapytam, dlaczego on jest taki chudy.

— Dlatego, że za mało ma pożywienia. Niech pożre najgłupszego człowieka, to będzie tłusty.

Wymówiwszy te słowa znikł stary bez śladu. Wędrowiec zaś poszedł z powrotem do domu.

— No... spotkałeś szczęście? — zagadnął go wilk na kraju lasu.

— Tak — odrzekł człowiek — szczęście jest to zgryźliwy starzec, który mi robił wyrzuty, żem go przez swój nierozum od siebie odpędził. Pozwolił mi jednak na jedną prośbę — zapytałem więc o powód, dlaczego ty jesteś tak chudy.

— No i co?

— Masz zjeść najgłupszego człowieka na świecie — to ci pomoże.

— No! jeżeli ktoś spadek roztrwonił, a potem od szczęścia nie ma innego żądania, jak tylko aby się dowiedzieć, dlaczego wilk jest chudy — ten musi być z pewnością najgłupszym — pomyślał wilk i pożarł człowieka.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Listy prababki* przez Marję Raczyńską. Kraków. Nakład G. Gebethnera i Spółki. 1904. Z tego prześlicznego zbiorku wypłakanych wprost z duszy kobiecej nowelek, znajdą czytelnicy nasi „Pole Racławickie“ w dzisiejszym numerze „Tygodnia“. A o innych, o „Listach prababki“, o „Wieroczce“, o „Kwiecie grzechu“ mówić trudno bez rozrzewnienia, które wprost za serce chwyta i ciągnie — ciągnie przez wszystkie karty książeczki. Powrotną, a silną falą napłynie w duszę cztelnika to, czego się doczytał już dawniej w „Latarniku“ lub „Syberyjskich szkicach“ Szymańskiego i to jeszcze ponadto, co napisać tak trudno, co rozproszone po ziemi naszej bieleje szkieletami kości bohaterów, nigdy nie zamarłym płaczem tysiąca matek i dziewczyn żałobą i tym łzawym hartem duszy kobiecej, co dzieciom swoim na pole śmierci błogosławi lub długie męki Sybiru.

Na czoło zbiorku wysunęła autorka „Listy prababki“, pisane w latach 1832 do 1836 do męża na wygnaniu. Jestto malutka cząstka rodzinnych pamiątek — takich pamiątek, jak listy dziadka Erazma, który zginął pod Ostrołęką i listy dwóch młodszych synów prababki, pisane z Sybiru, jak błękitny medaljonik, dar narzeczonego, który padł obok dziada Erazma na polu pod Ostrołęką. Przyjaciel przyniósł nieszczęsnej dziewczynie wraz z ostatniemi jego słowy kawałek sukna z munduru poszarpanego uderzeniem granatu. Sukno to było przesiąknięte, przepojone krwią umierającego. Dziewczyna przyjęła cios na pozór spokojnie, zamknęła się w cichem, pokornem milczeniu. W błękitnym medaljoniku zamknęła ów strzęp krwawy i zawiesiła go na szyji — ale ciężar musiał być niewymownie ciężkim, przechodzącym jej biedne siły, bo chyliła się pod nim z dnia na dzień, niszczała i bladła. Umarła cicha z słodkim uśmiechem wyzwolenia na ustach.

Z takiej to skarbnicy pamiątek, pochodzi i siedm listów prababki. Trzeba je przeczytać, a sąd o nich sam przyjdzie. *F. J.*

NOTATKI. *Dom Mickiewicza w Stambule.* Korespondent jednego z dzienników warszawskich zwiedzał niedawno miejsce na przedmieściu Pera w Konstantynopolu, gdzie dnia 28. listopada 1855 roku umarł Adam Mickiewicz. Dom bowiem pierwotny drewniany, w którym umarł wieszcz, spalił się w r. 1870, a na jego miejsce w r. 1880 zbudowano dom nowy, murowany z zachowaniem dawnego planu na pamiątkę i umieszczono na nim napis: „Na pamiątkę postawiony ten dom na tem miejscu, gdzie 28. listopada 1855 roku, umarł Adam Mickiewicz“. Pamiątka to, mimo że nie współczesna, ale w każdym razie cenna. Obecnie grozi jej przymusowa sprzedaż i dostanie się w ręce spekulantów, którzy ją zburzą. Niewielką kwotę potrzebną na uratowanie domu Mickiewicza, powinno zebrać społeczeństwo polskie.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

— Birkenmajer Ludwik K. Dawne słownictwo techniczne polskie. (Odbitka z „Czasopisma technicznego“) Lwów, Nakładem Towarzystwa politechnicznego. 8-ka str. 39.

— Galle Henryk. O poematach Marji Konopnickiej: Prometeusz i Syzyf i Pan Balzer w Brazylji. (Książki dla wszystkich). Warszawa 1904. Nakład M. Arcta. 16-ka. str. 68.

— Kutrzeba Stanisław. Starostowie, ich początki i rozwój w XIV w. (Odbitka z t. XLV Rozpraw wydziału historyczno - filozoficznego Akademji Umiejętności). Kraków 1903. Nakładem Akad. Um. Skł. gł. w księg. Sp. wydawniczej polskiej. 8-ka. str. 120.

— Lange A. Społeczeństwo i historja. (Książki dla wszystk. nr. 125.) Warszawa 1904. Nakł. M. Arcta. 16-ka. str. 96.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.